

Ponad losem

Kazimierz Sopuch

Ponad losem

Wydawnictwo „Marpres”

Książka ukazała się dzięki wsparciu finansowemu Urzędu
Marszałkowskiego w Gdańsku



Projekt okładki i karty tytułowej
Władysław Kawecki

Fotografia na czwartej stronie okładki
H. W. Szymański

© Copyright by *Kazimierz Sopuch*

ISBN 978-83-7528-041-8

Wydanie I
Wydawnictwo „Marpress” Gdańsk 2009

Portret kobiety

Oto jest kobieta –
była kiedyś piękna
Zobacz jak patrzy gdzieś ponad swym losem
bardziej boleśnie niż męczony człowiek
bardziej poddańczo niż topiony pies

Oto jest kobieta –
patrzę na jej obraz
z lat bardzo dawnych liczonych na chwile
w oczach jej dzisiaj tamtą gorycz widzę
tamto szyderstwo ze zwycięstw i klęsk

Oto jest kobieta –
i w co ona wierzy
i jaką widzi pod gwiazdami stałość
że zwyciężona nie chce uznać klęski
że oszukana – ufa jeszcze raz

Zanim nie przyjmę

o twoją ciszę niepłochliwą małą
modłę się młody już czujący trwogę
o dotyk włosów od płomienia cichszy
o dłonie wąskie złożone w kominiek
z którego bije zapowiedź rozkoszy
o twoje oczy –
więc przybądź miłość niech się nie rozprasza
i niech jak słońce
w czasie rozkoszy nie siąpi jesienią
bo wiedz że przyjdą na nas dni jesienne
a niech tam przyjdą
lepiej zapomnij o tym moja dobra
że z wiosny lato i jesień się rodzi
nie daj się uwieść pięknu które kona
dużo na spokój będzie czasu w grobie
więc przybądź czekam jeszcze czekam chwilę
zanim się serce życiem nie oziębi
zanim nie przyjmę filozofii świata
że sens jest głębiej

na wszystkie święte lekkie stopy twoje
muszę przysięgać choć w ciebie nie wierzę
święta kobieto nigdy nie zbawiona
kobieto łaski i kobieto grzechu

z ciebie wyszedłem i wracam do ciebie
w ustach oddaję ci smak gorycz wole
ja który niszcę który nienawidzę
oddać ci muszę na zawsze i oddam
w opiekę biodrom marzenia o życiu

My dwoje

my dwoje
kochankowie drugiej połowy dwudziestego wieku
ludzie o największej miłości
jaką znał świat
siadamy czasem
i obcość gasi nam twarze
wyglądamy
jak rozbity przez piorun
pień drzewa
a włosy
konwulsyjnie czepiają się siebie
tak jakby liście
mogły zastąpić korzenie
tylko zielony las na wzgórzu
ratuje nasze uczucia
ale i tam
zakrada się piorun
uderza z nienacka
jak kot
przeciwko światu
mamy tylko swe oczy
i biedną nadzieję
że zanim ludzie zniszczą las
my świecąc oczami
odnajdziemy w nim siebie

a potem będzie trochę wiary
w to co jest małą ludzką duszą
potem już tylko dużo nocy
w której rozplynie się nadzieja
i prośba duża jak marzenie
jak moźszowe ręce obie
by nie zwycięstwo ale klęska
by nie błaganie i modlitwa
ale nienawiść i przekleństwo

no cóż –
także i wtedy
dłonie
których nikt nie podeprze
opadną wzdłuż bioder

Przemiany

ona klęczała kapliczka przydrożna
włosy szumiały niebieskim wiatrem
i tylko oczy wirujące korale
spaść chciały na mnie

i już nic więcej od niej nie dostałem
bo chociaż oddać mi chciała swe oczy
a potem usta i piersi i biodra
po chwili krótkiej tak krótkiej jak życie
gdy już wspomnienie nam tylko zostało
leżała cicha i nasłoneczniona
a spokój usiadł na piersiach jej obu
na całym ciele pachnącym nadzieją
więc rozkazałem stanowczo wiatrowi
aby jej zagrał świerkową melodię
a sam klęczałem pogański światowid
strzegąc stron świata

Nadmiar

budować świat z twoich oczu
z dłoni mieć mały dom
i razem ukryć się w lesie –
na dni te na pewno wystarczy
domek o dachu z twych dłoni
w nim trochę sprzętów najprostszych
dwoje oczu dwie wargi
i jeden pulsujący orzech –
zapas na siedem dni głodnych
że straszę cię głodem powiadasz
gdy w nas się bogactwo nie mieści
nie straszę - głodne dni przyjdą
normalną ludzką koleją
więc zbieram miłości twej nadmiar
chowam go w domu z twych dłoni

★★★

... bo pełnią naszą jest codzienna walka
jest codziennego dnia oczekiwanie
na wieczór cichy i serce kochane
z których jak z źródła moc się nową bierze

Narodziny życia

panno nad wszystkie jasna
moja złota różo
gdy w mych ramionach zakwitniesz
czerwieni będzie dużo

ocalę twoją młodość
nie trzeba cichej prośby
wśród włosów pąk zakwitnie
czerwonokrwisty goździk

my ludzie drżącej pogody
zaczniemy wierzyć w sens jutra
oddam co twoje tobie
abyś nie była smutna

a sobie zostawię twe oczy
otwarte zdziwione duże
i przyjmiesz rozkwitła przysięgę
że będę ci wiernie służył

Taniec wśród ciszy

muszę odejść w tę granicę cienia
która się wiję aż po oczy
ale zanim odejdę
dostaniesz światła wiele
w którym twoje małe serce
skurczy się
jak spadająca gwiazda
wtedy zobaczę
jak powoli podskakuje
i tańczy w rytm odejścia
taniec
który będzie trwał
od wielkiej ciszy
aż do odwołania

Mikroobrazy

I

pójdziemy przez konwalie
potem przez kwiaty w sadzie
– tylko nie zrywaj tych
które mogą wydać owoc –
aż zaprowadzę cię
nad brzeg jeziora
i zobaczysz jak w chmurze
dojrzewa słońce

II

czy słyszysz
księżyc piętami w jezioro bije
a ten jego płaszcz
zobacz jaki długi –
perłowy koniec moczy się w wodzie

kochana
włosów mi nie broń
swą aureolę smutku
jak nów nad nimi zawieszę
niech będzie pełnia rozkoszy

III

jeziora mazurskie lasy
hodować dziewczyny o jasnych oczach
o wy to umiecie
już dziećmi kładą się na wrzosach
na wzgórzach pokrytych liśćmi
potem im oczy niebiesko kwitną
piersi jak wyspy
bo dano im niebo nosić i wodę

łodziom płynącym spokojnie wśród twarzy
gdy im smutno
na łodziach tych zawsze dopłynę
do wysp ukojenia

Tej co odeszła

Tu się urodziła
widzisz – nad tą wodą
z tamtego lasu wychodziła naga
otwierała niebo dłońmi złożonymi
Tak tu jak dawniej:
łódka na jeziorze
w pływającą brzegu stado gęsi wkracza
zgubione pióra wiatr lekko kołysze
Stąd nie odejdiesz
Zawsze nad tym brzegiem
las cię osłoni i odbije woda
a trzcina cicho wyszeptała twoje imię
Bo możesz nie mieć
wiary ni nadziei
i będziesz żyła – ale głowę latem
najczulej uśpij tutaj – nad tą wodą

A kiedy umrę

a kiedy umrę to do trumny
goździków włóżcie dużo dużo
wieko zamknijcie – niech tam płoną
niech mnie przerażą swą czerwienią

taka bezsilna czerwień w grobie
pewnie zasmucić zdoła Boga
więc zstąpi z nieba nad mogiłą
przystanie goździk wyjmie z trumny
i da go w dłonie tej dla której
świat gdy był ze mną kwitł i śpiewał
a teraz ucichł i śpi w kwiatach

Tyle

na tyle żeby odejść
siły starczyć musi
ale ty się nie smuć ty na tym krzeselku
usiądź tak jak dziecko siada po raz pierwszy
oblóż się wspomnieniem pocałuj ten pierścień
taki czarny duży moje oko lewe

a potem już nie płacz choćby droga krwawa
choćbyś się przy innym budziła co rano
podnieś kilka wspomnień na wysokość oczu –
tyle starczyć musi tobie tam siedzącej
tyle biorę z sobą

Rwanie lnu

Matce

Zostawiłaś mi
uśmiech niebieski
zimny kwiat lnu
bo odeszłaś zimą

Po ziemi wypukłej
chodzi już Twój cień

Czas by Matko
na pole wyjść
powój w ziemniakach
komosa we lnie się pleni
Przez wieś deszcz przeszedł
– jeszcze w brzdach kałuże
a nad rzeką plusk
Chodź – pójdziemy boso
idę twój – przy Tobie
kolebanie Twoje
szerokie jak deszcz

Zastygła w bruzdzie
schylona nad prosem
stajesz się ciszą
Zaraz wstaniesz
rozprostujesz plecy
wtedy z pobliskiego lasu
dosięgnie Cię zapach sosen
Powiesz:
jak ten las pachnie

I to jest wszystko
co wydarłaś ziemi
dla mnie
abym Cię uniósł
ponad pola
nad kiście prosa
i niebieskość lnu...

Tratowałaś ziemię
kolanami
zagon lnu
wrzynał się w pole ziemniaczane
– Twoja drabina do nieba –
I tak przeszłaś
na moment
ujarzmiając kwiaty

Polną ścieżką bosą
idziesz
dzień za dniem

Chodziłaś codziennie patrzeć
jak rzeka dojrzeła
W rannej mgle
– jakby kto mleko rozpylił –
niereczywista szłaś
a brzeg był urwisty

Na brzegu tym jak Ty stoję
w dole przewala się
bure niebo
skowronek wyfrunął z perza
Stoisz za zakrętem rzeki
nie znam tamtego brzegu
Gdyby był niski
mógłbym Ci umyć stopy
Mamo

Szukam Cię
między szumiącą brzozą
a rozłożystym klonem
Gdy tak między nimi stoję
chcę się owinać w Twój czas
od kołyski
po wyrośnięcie klonu
Widziałem jak płakałaś
gdy piorun odłupał gałąź
od pnia
i odtąd wydawało mi się
że zabrakło Ci ręki

Zabliźniła się rana na klonie
za drogą
faluje zboże
skowronek zszywa ciszę
Odziana w czerni
między zbożem idziesz
po fali
za bruzdę pamięci

Odejście Twoje –
pogodny zachód słońca
w choinkową noc
Widzę Cię
elipsą zaznaczony ślad
byłem razem z Tobą
wydałaś mnie światu
u szczytu swej drogi
ogrzałaś uśmiechem

Z trzeciej pory roku
widzę jak odchodzisz
w piątą –
w noc

Czy nie żal Ci
Mamo
nad polami mgły
nasturcji przed domem
i kwitnienia zbóż
Zobacz – tam pod śniegiem
Twoje lato śpi
zając gdzieś pod miedzą
kuli się i drży
smutne pszczoły w ulu
nie zbudził ich nikt
gdy odeszłaś nocą...

A tu krzywy krzyż
ludzi jak na pogrzeb
naszło – po co tak
To ostatnia droga
tak znany Ci szlak
I ten mróz
ta białość
która w oczy tnie...

Czy nie żal Ci Mamo
mnie

Wierzyłaś w niebo wysokie
za chmurami
a ja szukam Cię nisko
przy ziemi
nad stawem wśród kaczeńców
gdy schylona moczysz len
a niebo jest na dnie stawu
bliskie i realne
Uciekajmy –
rozstępuje się niebo pod nami
szybko na ziemię

– przeniosłaś mnie ponad błotem –

Ponieśli Cię przez wieś
tak daleko
że aż trudno pojąć
dokąd

Był luty
Po lutym mrozie
wiedli Cię w wieś
druźbowie w szarych sukmanach
na skrzypiących saniach
rozbijali ręce o pazuchy
zza pazuchy
wyciągali okowitę
Przyjął Cię alkierz przestronny
posypany piaskiem
Zanim odtajała łąza
uroniona w kościele
już parobczaki
oberka obertasa
dziewuchom sukienki na głowy szły
a staruchy pod piecem
placek z przetaka jadły

Z powały
przy dźwiękach basetli
wchodziłem w Twoje oczy

Zielone lasy
zielone pola
zielone deszcze
gdy maja pora
Położyłaś się na roli
gdzie wschodzący pachniał len
a tu dzień nad Tobą jasny
a w Twym łonie –
o mnie sen
I wyrosłem Ci wyrosłem
z kropli rosy
z kwiatu lnu...

...w lichej ziemi
pod kwiatami
ułożyłem Cię
do snu

Oto
święci
których przywiozłaś ze sobą
w posagu
wiszą smutni
Ich wyblakłe koszulki
brudzą muchy
a w rogach złoconych ram
czatują pająki
Non omnis moriar
rzekł mędrzec
Święci
bledną powoli
– gdzie im tam
do niebiańskich blasków –
zostaną z nami

Zapraszam Cię
na mój ślub
Włóż swoją najlepszą sukienkę
owiń się szalem
z pajęczyn i mchu
Wchodzący w lato
niemal do Ciebie podobny
schwytałem najładniejszy liść
który
jako pierwszy
przedwcześnie chciał spaść z drzewa
jeszcze
miła
z naszego drzewa
zobaczmy jesień
aż nas wnuki wyrzucą
zasuszonych
ze swej pamięci

Upadniemy blisko Ciebie
Mamo
potwierdzając
prawo grawitacji

Cicha
nad wszystkie lepsza –
gdybym mógł widzieć świat
Twoimi oczami:
z rosy pogodę wróżyłaś
z pogody burzę
i niebo dawało radość
Tobie i zbożom
Zaraz po deszczu szłaś
pielić len
co roku jaśniejsza
bliższa ziemi
Różaniec potu i łez
zmawiałaś co dzień
rano słońcu podległa
księżycowi nocą...

Odeszłaś
zagonem długim
lnianej przędzy
Chciałaś od skowronka wyżej
doszłaś –
najgłębiej

Po Twoim wyjściu wykadzono alkierz
jałowcem
zapach świec się rozwiął
wróciły sprzęty w swą codzienną przestrzeń
Najdłużej Ciebie pamiętała kuchnia -
nikt tak nie umiał podtrzymywać ognia
jak Twoje dłonie
I tylko Ciebie zabrakło w obejściu
na ścieżce między domem i stodołą
w królestwie kurzym
Żyjący szybko zajęli Tve miejsca
weszli na ścieżki skorzystali z butów
zdatnych do targu
albo do kościoła...
I tylko ojcu przybyło modlitwy
na kwadrans jeden za cierpiącą duszę
tak jakbyś mało wycierpiała tutaj
na kilku morgach zachwaszczonej ziemi
gdy deszcz ukośnie osiadał na kwiatach
gdy śnieg niepewnie otulał maliny

Pod wielkim dzwonem południa
dojąca krowy
Stoję przy Tobie
z gałęzią klonu w ręce
zapach dojrzałego żyta
prosi o zniwa...

Teraz jest tylko
ta cisza nade mną
i usychająca nasturcja
nad Tobą

Jak długo
można wytrzymać ciszę

Zagroda ze sztachet
chwieje się gdzieniegdzie
parę zgniłych słupków
ciągnie w dół sztachety
Co silniejszym zbirom
przybywa odwagi –
gmerzą mi we włosach
dmuchają w powieki

Z wioski do wioski
z miasta do miasta
ciemność się długa nakłada
jak sznur
Wrosnąć
– pień wierzbowy –
w ziemię korzeniami
co roku na wiosnę
chłopaki wystrużą
z gałęzi fujarki

Zaciska się ciemność
na szyi i oczach...
Jeszcze promień słońca
zbląkany w ogrodzie
jeszcze się pochylę
przed progiem – już niemy
zanim inni za mnie
powiedzą
– niesiemy –

Idę do ciebie
w to samo miejsce
w glinę
w piach

Bo to jest rwanie lnu –
pochylenie głębokie
aż do wierzchołków korzeni
szukanie nisko
na wysokości nasienia lnu
ładu swego serca
zapalanie niebieskiego promienia
w sobie
od ostatniego kwiatu
ginącego na zagonie...

Gdzie jest ten kwiat
co Ci przyrzec
odchodzącej za miedzę

...i tak się czuję jakbym wiecznie
miał siedzieć wśród tych mebli jasnych
pośród pejzaży które dla mnie
maluje w oknie starzec mróz
Zamykam oczy...
Ty przede mną młoda
twarz przybrałaś w uśmiech dojrzałego zboża
Zaszumimy Mamo
wiatrem nad polami
Czasu mamy mało:
tyle co z epoki
w epokę przeminąć
ziarnem w spichrze opaść
i wrócić na miejsce
wiecznego uśmiechu
kryjącego pejzaż
doskonałej zimy

Wigilia 1968

Astry (1976)

Żonie

teraz ci zagram
teraz ty zatańczysz
fugę na życie
bluszcz – tylko tyle
wytrzymujesz życia
ile na rżęsach
siądzie ci skowronkiem
ile utrzymam
twój partner –
i mistrz

★★★

ładnie śpisz
sen cię ubiera
w te kształty które
miałaś w niemowlęctwie
ładnie śpisz –
a gdy się zbudzisz
to tak mi wyglądasz
że kładłbym przy oczach
astry – te kwiaty
smutkiem gwiazdom równe
i tak idziemy
a ślady po stopach
stygna – wypełni
je naszym kształtem
wnuk dla którego
ten astralny świat

nie wiem
który kształt prawdziwszy:
ten dla którego
budzisz się ze snu
ten który o nas
wyśpiewa wnuk

★★★

ustawiłaś się od strony słońca
zabarwiłaś na różowo
siebie
aby osłabić
spiekotę dnia
aby ogrzać
zimę
czytam:
„huragan «Inez»
spustoszył Dominikanę”
huraganem wchodzę
wychodzę ciszą
nasze urodzajne pola
zostają nietknięte

rośnie na nich radość

★★★

można ją sobie wyobrazić
jak siedzi przed lustrem
cierpliwa
cierpiąca
cierpiętlica –
odrzuca radość gestem prababki
a tam w komodzie czarny czeka szal

wiem –
mogę ją sobie taką wyobrazić

a ona
idzie i szpilki z nóg jej spadają
faceci biorą to za dobry znak
ona uśmiecha się do nich dziwnie
faceci biorą ten uśmiech wprost
a on gdzieś za nich gdzieś na inny świat

oni są na nią pewnie bardzo źli
ja tylko wtedy
gdy wybiera lustra

★★★

a kiedy palec na ustach położysz
to widzę – wszystko widzę – co idzie na nas
co nas dopadnie oczy pozamyka

★★★

idziemy w ciszę
dwuramienny świecznik obraz na ścianie
kilka drobiazgów przed pękniętym lustrem
fotel na biegunach

i ptak nieznany
śpiewem wysokim budzący co rano

na nic nie liczyć
stać o własnych siłach
oczy najwcześniej dopadną celu

martwi cię księżyc
co wplótł się we włosy
to towarzysz drogi –
odtąd już razem
idziemy w ciszę

★★★

nie smuć się
wysmukła w dobroci
lęk zostaw za bramą
nikt nas tu nie znajdzie
uwierzemy we wszystko
o czym śpiewa klon

nie będą nas szukać
a ten strach przed bramą
postawiono na wróble
uwierz

tylko święte krowy
pasą się bezpiecznie
na poletkach chwały
piją u źródeł
dla nich wiatr
rozpęta burzę na jabłoni
i zieloność na płocie

– jak smutno –

oddaj mi swój smutek
oto księżyc
zsyła nam drabinę do nieba
właściwa pora
strach na wróble zasnął

śnijmy

★★★

w środku nocy jeszcze w blaski dnia ubrana
śniesz dzisiejszość a że sen to więc ją widzisz
czubkiem palców – kształt rozplywa się i ginie

w środku nocy – tyle w tobie wiary
ile zdołasz nie ubrana schować w dłonie
snu mojego co przy twoim jaśniej śni się

rankiem chcesz odgadnąć przyszłość z moich dłoni
kładzisz sobie je na oczach badasz linie...

★★★

kwitną już sady
kwiat w kwiat tak dorodny
że aż żal patrzeć
czerpać siłę z kwiatu
jeszcze potrafią pszczoły
na równinie bieli siadając
jak ty na pościeli
gdy się biel w tobie na różowość zmienia
i wschodzisz zorzą

więc lepimy plastry
po drugiej stronie jest zawsze nadzieja
przecucie lotu łąka cała w kwiatach
czy kwiat niesiemy?
chcę być tylko pszczołą
jej horyzontem wpisać cię w krajobraz
tysiącem oczu rozpoznawać w tobie
kwitnące sady

★★★

widziałem puszcę – las odsłonił
oblicze piąte z wiewiórką rudą
dzięcioł na drzewie tak spokojnie siedział
jakby zapomniał że jego istotą
jest stukanie w drzewo

i stały dęby w tę jesienną ciszę
ubrane
której nie wypowiem – może we śnie
gdy przez przypadek swe dłonie położysz
na moich oczach – ujrzę po raz drugi
jak może piękne być to co odchodzi
i jak spokojne

bo tragiczne
krzyk z naszych krtani przed zejściem wydziera
wtedy czujemy że cisza
fałszem

★★★

dzisiaj idziemy nad wodę
w wielkim lesie
zieleń schodzi łagodnie
rybom w oczy
a niebo zrównało się z wodą
tak tu co roku wracam
wyrównać swoje sprawy
z sobą
z ziemią
przychodzę
zbierać poziomki
paciorki różańca –
jedyna modlitwa
na którą pozwalam sobie
raz w roku

żyć z lasu

i tobie pokazuję to niebo
horyzont ptaków –
między ciepłem ich gniazda
a najwyższym lotem

★★★

już chciałem uwierzyć
że nie ma bólu
gdy oto ujrzałem go
w twoich oczach –
układałaś tulipany
w nowym wazonie

za dużo w tych kwiatach czerwieni
ale idziemy w pochodzie
w każdą pogodę:
to my uderzamy
to biją w nas

★★★

znów cię obsiadły wspomnienia
od włosów po stopy
siedzą na nerwach na każdym palcu

kruki
na telegraficznych liniach

spędzałem je
i już wierzyłem
że odleciały
w sny które się nie śnią

niczego nie można zapomnieć

tak motyl
zwisając nad kwiatem
wchłania historię drzewa

★★★

powiedz
co w tym jest:
przywalone –
wyrośnie
wypalone –
odżyje
pozbawione nadziei –
aż tu w sadach
kwitną
kwitną jabłonie
dziewczęta się stroją nad wodą
wszędzie
pęka owoc
pachnie rozkoszą

★★★

co ci w tym lesie pokazuję – powiedz
co trzymam w dłoniach gdy do twojej pasieki
pszczoły ciężarne z wrzosów niosą sierpień?

ocalić! – myślisz że ocalić można
tak jak kościoły albo świątki polne
naszą codzienność rytm serca w południe
spadanie w siebie – najsilniejszy wiatr?

jeszcze jest słońce ale wierzchem lasu
szum lekki idzie – forpoczta jesieni
a ja w swych dłoniach mam kształt twoich piersi
skarb który przetrwa uderzenia czasu

ten las co w bieli wstępujący w słońce
ten młodnik nad rzeką za zakrętem drogi
którą idę tak długo jak pamięć

★★★

o rozżalona
rozpachniała wrzosem
niosąca nad podziw
bliską i jakże
niemożliwą miłość

spoglądam na twą łąkę
spokojnie i czule
wkładam dłonie do rzeki
i ubywa świata
więc płynąć –
drży powieka nad kwiecistą łąką
ty w dłoni kwiat stokrotki
ja trzymam kaczeńce
nie mogąc piękna wchłonąć
zrywamy je tylko
by wodą na równinie
mogły płynąć wieńce

★★★

który to rok już gubisz swe wspomnienia
na wąskich ścieżkach i polach szerokich
latem gdy kos się przez ciszę przedziera
a konik polny chce ją zniszczyć w sobie?

ty pochylona ku wczesnej jesieni
wyzbądź się wiosny – tej co już nie kwitnie
lato tak piękne było – a może śnie jeszcze
wczoraj i jutro chcąc uwięzić w dzisiaj?

co nazwiesz – przetrwa
co zapomnisz – zginie
tak rośnie kamień – i nasza nadzieja

★★★

po to by oczy otworzyć na niebo
na krajobraz jedyny tobie nie oddany
po to jeszcze podchodzę pod szczyt stromej góry
niosąc z sobą nadzieję że mój głaz nie spadnie

to ciebie tak dźwigam choć ty o tym nie wiesz
gdy przyjdzie odpocząć twą ikonę złożę
na szlaku – w środku drogi – już prawie pod szczytem

★★★

ptak dzienny
nocą tracę wzrok i skrzydła

o moja wymodlona
przed tobą klękam
osłoń mnie
jeśli możesz
przed zjawami nocy
a gdy nastanie pora
przejścia w ciemność
niech to będzie w południe
w polu
gdy zboże dojrzewa
przefrunę
z arkadii urojonej
do innej...

... bądź wtedy przy mnie

uciekać – dokąd?
to odchodzi lato
w przestrzeń i w ziemię
omijając nas

bledniemy nieba
pożółkli zdobywcy
oczy płowieją
jak jesienią dym

czuję – cisza
przechodzi obok
– to tylko astrów
układasz dzban

Odjazd (1986)

Żonie

Gdy już przez wszystkie przeszliśmy drogi
gdy już na wszystkie wstąpiliśmy ścieżki
pojęcie winy
i pojęcie grzechu
zostawmy światu
rzeczy realnych
Na tym rozstaju
kopiec się rozsiadł –
mamiące widziadło
Musimy go zdobyć
Widziałem twarze
walczących:
w chwili bez czasu
wypełzał na nie
migający
zmienny
to wyraz buntu
to wyraz rozpacz
Nagle się wszystko zanurzyło w ciszy
twarze tężały w półśmiech tajemny
mówiący światu –
jednak zwyciężyłem

★★★

Ta ostatnia godzina
minuta
sekunda –
niech nie będzie bez ciebie
Oby nas los nie pokarał
spóźnieniem
na odejście
Widzieliśmy tak wiele
słyszeliśmy słowa martwe
Tylko my wiemy
co to oznacza
tylko przy sobie będąc
możemy rozpocząć
bez żalu
– męczone ptaki –
przygotowania
do odlotu
Nosimy w sobie
pająka bólu
Przekleliśmy historię
którą współtworzymy
a która powstała
przeciw nam

O miła –
gdzież jest ta Dolina Jozafata
na której
odbędzie się Sąd

★★★

Zwalony na kolana –
nie umiem powstać
Po raz pierwszy –
nie umiem
Wznosiły mnie słowa –
zakłamano je
Podtrzymywały bratnie dłonie –
teraz czujnie spoczywają na biodrach
Pozdrowiały usta –
tajemniczy szept słyszę
W półukłęk
– chochoł zaczarowany –
trwam
I ty obok
bez gestu
dumna

★★★

Mówisz
– Ginę
ubywa mnie
z dniem każdym –
i jesteś taka spokojna
jak jezioro przed burzą
jak drzewo
przed największym wichrem
jak powietrze pełne słońca
w południe
nad zbożami
Kiedy się w nas zacznie
ten wichur?
I dlaczego –
tak spokojnie czekasz?
Naucz i mnie
A Ty jasno się uśmiechasz
i mówisz
– Popatrz za ciemną zasłonę –
jakie tam słoneczne niebo
popatrz – jakie tam kwiaty
zupełnie jak te
które już kwitną
w moich i twoich
oczach

★★★

Bici i rozbijani
dzielni jak mięso
między bestie
Potępieni
– ale bezgrzeszni –
wyciągamy dłonie –
niebo jest tak blisko!
Ziemscy aniołowie
potrząsają mieczem
Obok
piekło
niezniszczalne
trwa

★★★

Ślad życia –
ciemność
Odejście –
ciemność
Stygnę –
oszukany
pozbawiony praw
Nawet Twoja dłoń
wymyka się z mojej
Jasny obraz łąki
boga Wisznu
znika za czarną kotarą
A jednak –
to tam pójde
stygącymi dłońmi
odchylając ciemność

★★★

Mijający ziemi krawędź
tylko twój powiew ostatni
ręką – zabieram
Tam się zatapia w ciszy
dnia jarmarczny obraz
ginie fala spieniona
mrok zapada

Półśmiech na twarzy bladej
zakwitł
i zmarniał

★★★

Podaję ci rękę znad Niemna
z Grodna gdzie kwitną kasztany
Czuję cię całą na dłoni
w uśmiech przybraną jak w tęczę

Chmurą nad Niemnem płyniesz
kwiatem opadasz do wody

Niebo się chmurzy – a we mnie
rozsiadł się smutek cmentarny
Podaję ci rękę znad chmury
ławka na Starym Zamku
już czeka –

★★★

Ty jesteś
ze wszystkich gór najwyższą górą
ty jesteś myśli moich chmurą
i smutkiem moim moim śmiechem

Stoisz tak blisko idziesz ze mną
jakbyś już przeszła wszystkie fazy
przeistoczenia chcąc pokazać
że można światłem zniszczyć ciemność

Jesteś obłokiem lecz i ciałem
twój kształt z maleńkich cząstek składam
to cię przybliżam to oddalam
największą jesteś albo małą

Taką cię niosę w dłoni lewej
całkiem maleńką tak jak chciałaś
Pomyśl – czy któraś to spotkało?
Wróćę najwyższa góro – czekaj

★★★

Jak dawno... Jak dawno to było.
Ten dom, który nie jest już domem,
ten kształt, który nie jest już kształtem,
młodość rozgrzana nadzieją i jasna,
nic nie wiedząca, że mija, że gaśnie.
Przecucie końca było zawsze przy mnie,
a teraz weszło już we mnie i rzeźbi,
nie daje zasnąć, lecz i żyć nie daje.
Szukałem, zawsze szukałem uparcie,
wierząc, że muszę jakąś jasność zdobyć,
a to jest tylko zasłony rozdarcie,
za którą nowe zasłony się mnożą.
Pewna jest teraz tylko twoja cichość,
twoja nadzieja, że nie ma nadziei.
Jakże ty możesz, wiedząc to, oddychać,
spokojna w drodze, rozważnie siwiejąc?
Czekam na twoje otwarte ramiona
choć wiem, że one – kolejną zasłoną.

★★★

Idziesz z głową zwieszoną
dłonie otwierasz zamykasz
nic w nie już chwycić nie można
I nie ma w tobie spokoju

Gdy płaczesz patrzę z rozpaczą
na łzy których dawniej nie było
chciałbym twe oczy całować
ramiona otworzyć tymczasem
ranię cię krzykiem

To starość najdroższa
To starość
podgląda nas
zbliża się
jest

★★★

To takie proste –
zabrać swoje rzeczy
i wyjść
Tak właśnie pójdziemy
Miła:
po krawędzi księżycy
szukając
słonecznego promienia
Nie trzeba uparcie trwać tutaj
gdzie tylko chłód
i oczekiwanie
kiedy wyruszymy
Odejdźmy
zostawmy tę przestrzeń
Już czas
i dobra pora

Zamknij oczy
przeprowadzę Cię
na drugi brzeg
Przejdziemy po falach
obmyci
z rybą miłości za pazuchą

Na wiekiustych pastwiskach

wnuczce Martusi

I

Odejd na wiekiuste pastwiska
gdzie lwy i dinozaury
żyją w przyjaźni
A ty szybko rośnij
abyś przegoniła
moją śmierć

II

Zostawię ci w dłoni
słuchawkę telefonu
do mojego nieba
Przyóż ją do ucha
gdy zapomnisz
jak uratować koniowi
chorą nogę

III

Na wiekiustych pastwiskach
są łąki tak rozległe
że mogą się paść
trawożerne dinozaury
Dla mięsożernych
nie ma pożywienia –
ich dusze latają nad ziemią
i spadają w oceany

IV

Słoneczna kraina
wita dusze ukwieconą łąką

Nie ma tu aniołów
ni diabłów
Bóg – Ojciec
nie zasiada na tronie
choć wszyscy wiedzą
że JEST
Czasami nad łąką
fruwa ksiądz Twardowski
jako śpiewający motyl –
zwiewny obraz Boga
Pojawisz się tu także
gdy zasiejesz DOBRO

V

Ten który JEST
otacza wiekuiastą krainę
jak firmament niebieski ziemię
Wszyscy są w Nim
otoczeni Jego ciepłem
Ci co opuścili ziemię
unoszą się coraz wyżej
pozbywając się po drodze
ciężaru win

VI

Między słońcami
mroźne wiatry wieją
Dusze złe
zamarzają w tym wichrze
Dobre idą ponad słońca
gdzie czekają na nie
niebiańskie łóżeczka
a Nianie o anielskim
uśmiechu
opowiadają baśnie szczęśliwe

VII

Nad słońcami
króluje Bogini – Matka
o twarzy Marii Magdaleny
Jej włosy
obejmują cały wszechświat

Nie zapomnij –
Jesteś w zasięgu Jej włosów
o barwie dojrzałego ogórka

2005

Perełki różańca

Żonie

Przesuwam twoje dłonie
w moich
perełki różańca
które zakwitły
jak stary pień wierzby
późną jesienią
Czy uda się nam
uniknąć tajemnicy bolesnej
i tak przejść
z perłami w dłoniach
na Górę Przemienienia?

Pozbawieni wiedzy
musimy uwierzyć

Wiele trzeba zapomnieć
zanim nie zapomnimy
siebie
Powoli głuchnę
na dźwięki tego świata
Czy gdy już tam dojdę
odzyskam słuch?
Jest mi potrzebna wielkość
taka ludzka ziemską wielkość
przed odejściem
bo wtedy i tam
będę wielki
Mówię o tym normalnie –
nie wyśmiewajcie mnie
gdy już jesteście wielcy

Idę
a nie spieszy mi się
Idę pod górę
a góry nie ma
I świata już nie ma
tylko ja
wstępujący w niebo
o którym wiem tyle
ile robak
o piorunach

Odmawiamy
nasz pacierz
składamy dłonie
łączymy je
rozłączamy
i płynie nasza melodia
doliną pragnień
która pod nami
innych zaspokaja
x x x
Jak mam ponownie
wyczarować nasz świat

...ptak nad wodą
Ptak
I jego cień

Czy to ty?
To ja
i nasza droga
-Moja jest piękniejsza –
Ale tu wrócisz?
- Wrócę jak wraca mgła

nad dolinę –
I nie będzie ci żal
wracać z daleka?
- Nie
wszystko zapomnimy
Zostanie mgła

Najwięksi bogowie świata
mówią
że nie ma wieczności
na ziemi
Gdy pytam
gdzie jest
przemawiają przez proroków
i wizjonerów –
ludzi z tego świata

Moja dobra –
już się zrywa
nieziemski wiatr
Wyniesieni przez siebie
idziemy
pełni nadziei

Różaniec
rozsypuje się
perełki
nie odnajdują palców
Otuliła nas cisza
i niepewność

Płomień
wszystko pochłonie

Nie ocaliłem
mojego Rzymu
i już go nie odbuduję

Na jego zgliszczach
zaśpiewam ostatnią pieśń
wołając przez wieki –
Galilae vicisti!

Wszystkie tajemnice różańca
są w nas

To jakby cień
po rosie szedł
i grał na fletni

20.01.07 – 13.10.07

Widziadło

I

Uśmiechnięty Budda
przymknął oczy
oparł ręce na kolanach
siedzi i kontempluje świat
Jam jest zadowolony
jam jest zadowolony
jam jest po trzykroć
zadowolony –
W półśmiechu
widzi cały wszechświat
przeistacza się
staje się Bogiem
bez Boga

Zrozumiał
sens cierpienia
i sens istnienia
w nieistnieniu

II

Jak klęczał Mojżesz
gdy rozmawiał z Bogiem?
Był wysoko
pod chmurami
klęczał na skale
Czy w tym odrętwieniu
ujrzał los swego ludu?
Czy modlił się za siepaczy z Auschwitz?
Czy rozumiał sens cierpienia?

Nawet czterdzieści dni i nocy
spędzonych tak wysoko

nie wystarczą
by zrozumieć
człowieka w Dolinie

III

Chrystus
gdy powiedział na Krzyżu
-Dokonało się!
nie umarł
Po czterdziestu dniach
przebywania w ukryciu
ukazał się uczniom
i wstąpił na szczyt góry
w oślepiającym słońcu
Gdy zniknął
„... i był niesiony do nieba” / Łuk.16,51/
apostołowie zawołali
Hosanna!

I odtąd wszystkie dusze sprawiedliwych
zostały przeniesione
z Hadesu

IV

Walka o niebo
trwa
Mahomed upiększył je
nappełnił hurysami
Zanim do niego wstąpił
utworzył państwo
i zostawił Księżę

To „niebo gwiazdziste nad nami”
pełne aniołów i świętych
zapełniają przez wieki
trzy wielkie religie
zrodzone z proroka Abrahama

... a krew niewiernych
jak płynęła tak płynie

Coda

Widziadło trwa
i ciągnie za sobą ogon
jak Komety
jak Droga Mleczna
rozrzucona w ciemnościach nieba

Jest jeszcze na Ziemi
dość nienawiści
by wypełnić Niebo
męczennikami za wiarę

Tylko Budda
trwa w półśmiechu

Zawada-Gdynia, 26.10. – 2.11.08

Zasłona

Spadła gwiazda –
zrobiła się szpara w niebie
i ktoś zaczyna śnić
o swoim raju
Zasnął
Wtedy opada zasłona
można go rozliczać
przed światem

Leżał pod katedrą nieba
łamaną przez pioruny
Niektórzy ze stojących
widzieli
jak szedł strzeliście
z mocą
niczym nie obarczony
bezgrzeszny
ku nowym wyzwaniom

Teraz już wie
że wrócił na swoje miejsce
Siedzi na fotelu
patrzy przez okno
i widzi ten sam
odwieczny
krajobraz
..... mgła
opada na las

Idzie
gdzie czekają
na dusze umęczone
rozpięte na krzyżach

Wszystko jest tam –
poza zasłoną

Moje zagrobne balowanie

*„...jako w niebie
tak i na ziemi”*

Drzewo
które stoi za oknem
oddala się ode mnie
do krańca niewidzenia
..... zniknie
z moich oczu

To prosty zabieg
jak wszystko
co wymyślił Stwórca

Napisałem –
i więcej nie mogę
bo jestem śmiertelny
Dotarłem na szczyt góry
patrzę pod słońce
jak apostołowie
..... mój cień
jest coraz mniejszy
Stoję tam gdzie stałem –
wszechświat
się rozszerza
Uderzam
piętami o ziemię
wyciągam ramiona

I tylko po mnie
dół wielki pozostał

przeze mnie wykopany

Przeszedłem przez ogień
i jestem nieśmiertelny

Nie płacz jedyna
osusz łzy
tu wszystko jest jak tam
Tańczę i śpiewam
w siódmym chórze
i siódme niebo mam
Tak mi tu lekko
żadnych win
nade mną słońca żar
i święty pański
piastuje mnie
obmywa duszę z ran

Blisko Tronu
siedzi święty Piotr
i dierży w dłoniach
Klucze Królestwa
a przecież po trzykroć
zapał się Mistrza

Wrzesień 2008

Spis treści:

Portret kobiety	5
My dwoje (1960)	6
Zanim nie przyjmę	6
***	7
My dwoje	8
***	9
Przemijamy	10
Nadmiar	11
***	12
Narodziny życia	13
Taniec wśród ciszy	14
Mikroobrazy	15
Tej co odeszła	17
A kiedy umrę	18
Tyle	19
Rwanie lnu	20
[Czas by Matko...]	21
[Zastygła w bruździe...]	22
[Traktowałeś ziemię...]	23
[Chodziłaś codziennie patrzeć...]	24
[Szukam Cię...]	25
[Odejście Twoje...]	26
[Czy nie żal Ci...]	27
[Wierzyłaś w niebo wysokie...]	28
[Był luty...]	29
[Zielone lasy...]	30
[Oto...]	31
[Zapraszam Cię...]	32
[Cicha...]	33
[Po Twoim wyjściu wykadzono alkierz...]	34
[Pod wielkim dzwonem południa...]	35
[Z wioski do wioski...]	36
[Bo to jest rwanie lnu...]	37
[...i tak się czuje jakbym wiecznie...]	38
Astry	39

***	40
***	41
***	42
***	43
***	44
***	45
***	46
***	47
***	48
***	49
***	50
***	51
***	52
***	53
***	54
***	55
***	56
***	57
***	58
Odjazd	59
***	60
***	61
***	62
***	63
***	64
***	65
***	66
***	67
***	68
***	69
***	70
Na wiekuistych pastwiskach	71
Perełki różańca	74
Widziadło	78
Zasłona	81
Moje zagrobne balowanie	83